

W miniony piątek Najwyższa Izba Kontroli opublikowała informację o wynikach kontroli bezpieczeństwa i higieny nauczania w szkołach publicznych. Tym samym całą Polskę obiegła wieść, że „w żadnej ze skontrolowanych szkół nie stworzono uczniom optymalnych warunków technicznych do nauki”. Stało się to przyczynkiem do dyskusji o dokonującej się reformie edukacji; przyczynkiem o tyle kłopotliwym, że niekoniecznie stanowiącym reprezentatywny obraz polskich szkół podstawowych i gimnazjów.

Dlaczego? Warto przede wszystkim przyjrzeć się metodologii wyboru szkół podlegających pogłębionemu badaniu. W sześciu województwach wystąpiono do wszystkich szkół z prośbą o przekazanie określonych danych. Spośród tych, które odpowiadały wybrano 295 podmiotów, w których wystąpiło najwyższe ryzyko wystąpienia nieprawidłowości, po czym wybrano losowo (przy uwzględnieniu reprezentatywności ze względu na województwo i etap edukacyjny) 36 szkół. Pozostałe 24 szkoły zostały wybrane spośród szkół, które... po prostu nie odpowiadały na ankietę. A zatem można przyjąć, że też niekoniecznie należą do liderów zarządzania. Przy tak wybranej próbie wyniki musiały wyjść złe – tyle stanowią one w takim przypadku ilustrację problemów jakie zdarzają się w szkołach, a nie prawdziwy, panoramiczny obraz polskiej edukacji.

Pamiętając o tym warto przyjrzeć się niektórym uzyskanym wynikom.

Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła, że w 78,3% skontrolowanych szkół powierzchnia części sal lekcyjnych nie przekraczała 2 m² na ucznia, przy czym w skrajnym przypadku powierzchnia ta nie przekraczała 1 m². Wyniki te zostały zestawione z liczbą uczniów pochodzących spoza obwodu szkolnego danej szkoły. Niestety zabrakło tutaj pogłębionej analizy stanu faktycznego. Chociażby odniesienia się do okresu, w którym szkoła została zbudowana; odsetka sal, w których panowało nadmierne zagęszczenie; tego, czy były w niej dostępne wolne sale lekcyjne; jakie były przyczyny (zwłaszcza masowego) przyjmowania uczniów spoza obwodu szkolnego. Bez tych informacji nie da się rzetelnie odnieść do opisanego problemu. Generalnie jedynym sposobem na zwiększenie powierzchni sali lekcyjnej przypadającej na ucznia jest zmniejszenie liczebności klas. Tyle że zmniejszenie liczebności jest powiązane z koniecznością utworzenia nowych klas – a to pociąga za sobą dwa efekty. Po pierwsze – jeśli nie ma dostępnych wolnych sal lekcyjnych, to wymusza to wydłużenie godzin nauki, a w skrajnym przypadku – naukę zmianową (co oczywiście też zostałoby wskazane jako urągające higienie pracy umysłowej). Po drugie – wobec algorytmu naliczania części oświatowej subwencji ogólnej powoduje konieczność zwiększenia nakładów na oświatę ze środków własnych. Niezależnie bowiem od tego w ilu oddziałach uczą się uczniowie wysokość naliczonej części subwencji jest taka sama.

NIK zauważył również, że w 80% szkół w niektóre dni kumulowano zajęcia wymagające zwiększonej koncentracji i/lub różnica w czasie rozpoczęcia zajęć bądź liczbie lekcji w poszczególnych dniach tygodnia wynosiła dwie godziny i więcej), w 100% szkół planowano niektóre zajęcia wymagające zwiększonej koncentracji na końcu dnia, a w 91,7% - takie zajęcia bywały bezpośrednio po sobie (w dwu- lub trzygodzinnych „blokach”). I znów zabrakło pogłębionej analizy przyczyn takiego stanu, a nawet pogłębionej statystyki – jak często taka sytuacja w szkole miała miejsce. Większość osób związanych z oświatą doskonale wie, że ułożenie planu zajęć jest wyjątkowo trudne – do konieczności uniknięcia „okienek” dla uczniów, pomieszczenia wszystkich w odpowiednich salach, dochodzą chociażby oczekiwania poszczególnych nauczycieli, by mieli wszystkie swoje zajęcia tablicowe bez „okienek” między nimi. Efekt jest oczywisty – zwykle nie da się tak ułożyć planu, by nigdy matematyka, czy przedmioty ścisłe nie trafiły na koniec dnia. A jeśli chodzi o „bloki” to niekiedy są one wręcz wskazane z punktu widzenia procesu nauczania przedmiotów ścisłych, gdyż umożliwiają one chociażby

przeprowadzenie dłuższych doświadczeń (o ile oczywiście szkoła odpowiednimi pracownikami dysponuje – tego jednak też nie można się dowiedzieć z wyników kontroli NIK).

Dość humorystycznie zabrzmiało stwierdzenie, iż w 66,6% szkół wystąpiły pięciominutowe przerwy międzylekcyjne, w tym w 35 szkołach również po zajęciach wychowania fizycznego. Przyznam, że jestem pod wrażeniem, że w 5 szkołach stosujących pięciominutowe przerwy udało się ich uniknąć po zajęciach wychowania fizycznego. Z tego względu, że zwykle zajęcia wychowania fizycznego są rozłożone w ciągu całego dnia, a jeśli tak jest to jakakolwiek pięciominutowa przerwa zwykle trafi po jakichś zajęciach wychowania fizycznego. Oczywiście możemy sobie zadać pytanie, czy przerwy takie nie są zbyt krótkie – ale to już kwestia oceny czy przy lokalnych uwarunkowaniach możliwe jest przesunięcie godziny zakończenia zajęć szkolnych o szacunkowo pół godziny zegarowej.

Polska oświata niewątpliwie wymaga doskonalenia. Do tego potrzebne są jednak wnikliwe diagnozy, a nie kilka interesujących, ale niewiele do tematu wnoszących haseł.